



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 13 marca 1955 r.

Nr 11 (259) Rok VI

JANINA BRONIEWSKA

Myślę, że się zaczyna...

Niepodobna w tej chwili stworzyć sobie jakiejś „syntezy” ani zebrać nawet znacznie skromniejszego tzw. „pokłosia”. Na wszystkich szczeblach organizacji partyjnych toczą się właśnie dyskusje.

Zebrania aktywu i instancji partyjnych. Dziesiątki rozmów w czasie pierwszej przerwy po mniej lub bardziej długim referacie. Po wystąpieniach mówców złotoustych, ciągle jeszcze owych „żelaznych dyskutantów”, ale już także po wypowiedziach ludzi mówiących całkiem nieporadnie, kiedy to z całej lawiny drobniutkich spraw wyławia się rzeczy bezcenne, jakieś samorodki najszerszego złota...

I coraz mniej już mówienia z kartki. Z kartki przygotowanej w przeddzień, często dokładnie „uzgadniającej” z samym sekretarzem POP. Taką mowę trzeba wydukać, żeby nie wiem co! Choćby poprzedni mówcy kubek w kubek to samo powiedzieli żywym słowem.

— Może mu dać brawo, wcześniej skończy? — wahają się słuchacze, delikatnie odciągają porcelanowe korki na wodzie sodowej „gazowanej w dubelt”. Woda syczy jak zwój węzów. Nie przeszkadza to ani trochę zadukaniem mówcy.

— Dajcie spokój. I on się z czasem nauczy. Przywyknie gadać co ma na wątrobie! — uspokaja dobrośliwy sąsiad nowatora w tej materii.

To już, na szczęście, zamierająca tradycja. Nie dobrotliwość, tylko mowy odczytywane. Nowatorów natomiast namnożyło się, aż serce rośnie. Przejęczają się ludzie, „przegadują”, wpadają w jakiś trans. Ponoć to o d w i l z, pomyślny wiatr, zdjęcie katarakty — a może i dojrzalsze? I to tak od góry w dół, z dołu w górę. Przenikająca, bolesna — a twórcza.

O tym ludzie mówią. Jeszcze mówią. Działanie ledwo się zaczyna. Z oporami, z rawiasami, po drodze wyboistej. Z perspektywą jednak, na szczęście, nie wybiegającą od razu w przyszłe stulecia. Raczej ją widzą, całkiem praktycznie i realnie, w latach najbliższych. Czy ja wiem? Warszawiaci to wreszcie, więc powiedzmy, że

w zakończeniu przebudowy Warszawy. Tej poszerzonej już, o całe nowe dzielnice.

Partyjniacy mówią. Z trybuny. Jak mówią? Jedni mądrze, życiową mądrością. Drugi ciągle wyartykimi sloganami. Posłuchajmy jak leci. Z placu budowy, z fabryki, z Ligi Kobiet, z biur projektanckich, z załoczonych pokoiów komitetów partyjnych, z ministerstw, zarządów centralnych, ze zwyczajnego, ulicznego chodnika, gdy partyjniak głowę zadrze i na domy popatrzy, na nowe domy. Z rady narodowej też. I to nawet koniecznie. Z wyższych uczelni? Oczywiście. Ale z duszy samego człowieka, z duszy partyjnego człowieka przede wszystkim. Co też tam w nim siedzi, jaki jest w tym swoim wnętrzu?

Przełamuje się w jednych i w drugich, że banalnie już powiem: stare z nowym. Stara forma a nowa treść. Nowa forma a treść stareńka, stareńka. I będzie to jeszcze długo. Można w uchwale zmienić styl pracy. Nie zmienia się człowieka na olaboga, choć już sam tego pragnie najgoręcej, choć sam sobie stawia to zadanie, zimnym i gorącym potem zlanym na przemian.

Rwie życie naprzód. Z kopyta. Czasem się zastoiś nadmiernie, a potem nadają za nim, człowieku, choć cię już zadysza aż dławi. Odbywają się w tym biegu nieraz kuglarstwa. Ten i ów ma widać fantazję, próbuje i na głowie stanąć. Intencje owych biegaczy są decydujące. Czy można je z samego gadania rozpoznać? I tak i nie. Spróbować można. Nie jest to przecież jeszcze żadna „synteza”, jak się na początku zastrzegłam, ani zalewanie betonem elementów dopiero w pełnym ruchu i drganiu.

DWAJ MÓWCY CZYLI KRYTYKA Z JAKICH POZYCJI?

Przelewa się dawno nagromadzona pasja, zdrowa pasja gospodarza swego terenu swego zakładu produkcyjnego. Widać, że chce się temu sekretarzowi POP nareszcie „wyjść z nerwu”, skoczyć do oczu także towarzyszom. Z całkiem wysokich instancji, z niebotycznego wprost szczebla w pionie państwowym, u których bil się dwa lata o sprawy

zawstydzająco proste dziś. Choćby i o wodę dla swych zakładów. O prymitywną wieżyczkę ciśniową. Bez niej produkcja, powiedzmy penicyliny, narażona jest na nieobliczalne straty. Estetyczne względy, wizja monumentalnej Warszawy stanęła w poprzek tej konieczności, żeby na szmela nie szła produkcja leku cudownego w „skali państwowej”. To samo było z kapslami nie zaplanowanymi w porę, nie dostarczonymi w porę. Przeplatają się kawałki własnej biografii, czasem ni w pięć ni w dziesięć. Nie brak pretensji do KD, że nie siedział instruktor w tychże zakładach, „nie pomagał”. Niesłuszna częściowo pretensja. To jeszcze szczątki dawnego braku wiary we własny kolektyw. To jeszcze potrzeba „winku” z góry. Choćby siedział i bity miesiąc dzielnicowy instruktor, nie wejdzie tak w sam gąszcz powikłanych spraw personalno-produkcyjnych, jak ta kobieta operująca fachową terminologią, znajomością wszystkich faz produkcji. Ze strzępów życiorysu wplatanych w to pełne pasji przemówienie nie wiemy, że jest robotnicą, nie inżynierem, technologiem czy nawet człowiekiem ze średnim bodaj wykształceniem. A chyba że w kaszy i takich, gdy piętnuje draństwo marnujące wysiłek ludzki, ludzką pracę, majątek społeczny, metody łamiące ludzi uczciwych, oddanych, obojętność kacyków, cyniczne słuchaty. Jakże ten człowiek wyrósł? W przeciwnościach, a może dzięki nim? Sala słucha, domaga się by przedłużyć przemówienie, choć dawno minął czas określony regulaminem obrad.

Inny mówca. Skondensowany po niekąd. Z dwu zebrań i dwu identycznych ulepionych postaci. Z ogniem, z wigorem zaczyna. Sala słucha. Zwolna szmerem narastających rozmów, poprzez długi stół i poprzez sakramentalne dwie butelki wody, ale jedną szklankę, daje znać, że spostrzegła coraz widoczniejszą granicę. Między pasją partyjną pasją gospodarza a osobistym odkuwaniem się drugiego mówcy: za własną bierność, za trzymanie wody w ustach, za niewychylenie się wtedy, kiedy to było „nieprzyjęte”, niewskazane, niezalecane. Mówca schodzi w tym szmerze, bez oklasku. I czuje się

pokrzywdzony, wykiwany, przewija się przez szpaler krzeseł i pleców. A tamten szedł przecie w burzy oklasków. Psioczył ani trochę nie mniej, szargał wręcz autorytety, po kątach rozstawiał ludzi, z nazwiskami, z przykładami konkretnymi.

Co jest? Drobiazg. Ten pierwszy nie pomijał s i e b i e. W wyliczaniu siedmiu grzechów głównych w dotychczasowej robocie. Nie pomijał osiągnięć. Bił się w ich imię, żeby były większe. Błądził? Błądził. A dlatego błądził, że coś robił. I widzi możliwości, widzi perspektywy, wierzy głęboko, że to można po nowemu ruszyć z miejsca, pchnąć naprzód. Nie dlatego, że j u ż m o ż n a, że to nawet wskazane, że w ten sposób „przenosi się” uchwały najwyższej instancji. Patrzy po prostu dojrzalszymi oczami, dzisiejszymi oczami na przeszłość. Nie opłuje jej od góry do dołu, nie wyleje jak brudne mydliny, kiedy czop wyjęto z Lalii. We wszystkim d o b r y m dzisiejszym jest d o b r e wczorajsze, jak liście na rozrosłym latami pnium. Czy na pnium narosły huby? Narosły. Trzeba je zdjąć. Wbiły się pod korę larwy najróżniejsze. Trzeba je wydrapać. Trzeba też przyciąć jałowe dzieciaki, trzeba upiłować suche gałęzie.

Czy trzeba z korzeniami wyrwać drzewo, żeby znów rozkwitło, owocowało? Nie! Trudzi się na nowo ogrodnik. Stroskany. Pokaleczonymi rękami czyści to drzewo. Z miłością. Spracowanymi, pełnymi odcisków. Przepuszczał przez nie fuszerkę? Przepuszczał, i to ciężką fuszerkę. Bo robił. Tyrał. A tamten patrzył niejako przez plot, ręce wpakował po łokcie w kieszenie. Wtedy, gdy drzewo chorowało coraz widoczniej. Teraz ręce, jakże czysto i dokładnie, wyjął z kieszeni dla mocniejszego podkreślenia gestykulacją ważkich słów: — A nie mówiłem to? Zawsze mówiłem! To ja miałem rację.

Nieprawda! Nie miał żadnej racji. Nie może mieć racji taki, co nie nie robił, co się od wszystkiego uchylił, co zwał wreszcie robotę na innych. Przeciążonych, gubiących się w natłoku powikłanych spraw, zaharowanych, załatanych, objuczonych nad-

(Dokończenie na str. 4)

KOMENDA GŁÓWNA MILICJI OBYWATELSKIEJ MA GŁOS

JADWIGA BLOND

Kto winien?



CAF — Foto Tyński

Na biurku stos akt, a przed oczami twarze i postacie chłopców i dziewcząt w różnym wieku, nie przekraczającym lat 17. Wygląd zewnętrzny, nazwiska i imiona, miejsca zamieszkania różne, różna też była ich droga życia do chwili, kiedy zostali doprowadzeni przez funkcjonariusza Milicji Obywatelskiej do Izby Zatrzymań dla Nieletnich. Z różnych też przyczyn byli zatrzymywani, jedni za ucieczkę z domu rodzicielskiego, z zakładu młodzieżowego, ze szkoły zawodowej, inni za dopuszczenie się czynu przestępczego; a jednak, mimo tych różnic, jest coś wspólnego, co łączy i nieletniego Fredka F., i Janke Z., i Stasia K.

To wspólne — to brak właściwej opieki.

Autorzy artykułów publikowanych na łamach naszej prasy przy poruszaniu problemu zaniedbania moralnego nieletnich wskazują przyczyny i winnych demoralizacji nieletnich. Cierpkie, gorzkie słowa padają pod adresem rodziców, szkoły. Słusznie również padły pod adresem Milicji Obywatelskiej krytyczne uwagi w artykule Salomona Lastika „O przestępczości wśród młodzieży” („Nowa Kultura” Nr 2 i Nr 4). Istotnie fakty bezdusznego stosunku do spraw nieletnich mają często miejsce w działalności Milicji. Krytyczne uwagi Lastika pod adresem sądownictwa, oświaty również, moim zdaniem, nie są pozbawione słuszności. Wydaje mi się, że chęć usprawiedliwiania się wskazywałaby tylko na brak poczucia odpowiedzialności, jaką bezsprzecznie ponosimy wszyscy za donuszenie do demoralizacji nieletniego. Toteż uważam za bardziej wskazane poruszyć w niniejszym artykule zasadnicze niedociągnięcia istniejące w działalności czynników powołanych do opieki i odpowiedniego pokierowania wychowaniem młodzieży, ponieważ uczciwe obnażenie niewłaściwych metod stosowanych w pracy z moralnie zaniedbanymi pozwoli nam uzdrowić sytuację.

Na podstawie naszych obserwacji, przebadania setek spraw dotyczących nieletnich przestępców, stwierdzamy, że nieletni najczęściej ulegają demoralizacji w tych wypadkach, gdy rodzice lub opiekunki prowadzą niemoralny tryb życia (nalogowi alkoholicy, przestępcy, chuligani itp.), gdy atmosfera w domu przesycona jest wrogością do obecnej rzeczywistości, fałszem, zakłamaniem, gdy rodzice rozchodzą się, ojciec ma przyjaciółkę, matka przyjaciela, gdy powłócznie zawierają związek małżeński i nieletni posiada ojczyma lub macochę, nie dbających o dziecko.

Wśród nieletnich ulegających demoralizacji bardzo poważny procent stanowią też dzieci rodziców, których dom określa się jako przyzwolony, którzy nie umieją jednak stosować właściwych metod wychowawczych. Nieumiejętność ta znajduje wyraz w zbytnej pobłażliwości lub srogości, a nie w zainteresowaniu się z kim syn lub córka przebywa poza domem, kto to są jego koledzy, znajomi, w słabej więzi ze szkołą lub zakładem pracy, w którym nieletni jest zatrudniony itp. Np. 13-letni Roman Z. niejednokrotnie przebywał w Izbie Zatrzymań dla Nieletnich w Warszawie i notowany jest w Sądzie. Rodzice jego pracują, cieszą się dobrą opinią, uchodzą za ludzi bardzo kulturalnych. Roman otrzymywał z domu dość pokaźne sumy pieniędzy na osobiste wydatki, matką wyrobiła mu nawet konta (!) w kilku sklepach. W wypadku, gdy chłopiec opuszczał zajęcia w szkole rodzice wpisywali do dzienniczka, że Roman był chory, choć była to nieprawda.

Nie można również nie wspomnieć o tych wypadkach, gdy rodzice lub opiekuni zasadniczo nie ponoszą winy za demoralizację nieletniego, ponieważ nie są w stanie wywiązać się ze swoich obowiązków wskutek przewlekłej choroby, niedołężności starczej (nieletnim opiekuje się babka) lub też trudnych warunków życiowych (wdowiec, wdowa — obciążeni liczną rodziną).

Fakty demoralizowania się wychowanków Państwowych Domów Dziecka świadczą o niedostatecznej pracy wychowawczej danego zakładu młodzieżowego, braku dostatecznej opieki nad nieletnim, który opuszcza często zakład w wieku lat 15 — 16, ponieważ kierownictwo zakładu uważa, że można już nieletniego „usamodzielić” i skierować do pracy lub szkoły zawodowej. Kontakt między wychowawcami a wychowankiem-sierotą często się urywa i nieletni „usamodzielniony” zaczyna kroczyć po różnych, najczęściej krętych, drogach. Np. w dniu 1.II. br. zostali doprowadzeni do Izby Zatrzymań w Warszawie Marian L. lat 16, Tadeusz T. lat 15 i Józef L. lat 15. Chłopcy ci uciekli ze szkoły górniczej. Kierownictwo Izby Zatrzymań dla Nieletnich w Warszawie po stwierdzeniu, że nieletni są sierotami i że przed skierowaniem ich do szkoły górniczej przebywali w Państwowym Domu Dziecka, zwróciło się do kierownictwa tego zakładu, aby się zgłosiło po odbiór swoich wychowanków. Srokano się jednak z odmową. Chłopcy, gdy ich rozpytywano, twierdzili, że wcale do zawodu gór-

(Dokończenie na str. 2)



(Patrz artykuł na str. 8)

Foto Wł. Stawny

K t o w i n i e n ?

(Dokończenie ze str. 1)

nichzego nie mają zamilowania i że mikt ich o zdanie w tej sprawie nie pytał. Nierzadkie są wypadki, kiedy b. wychowankowie zakładów młodzieżowych sami się zgłaszają do jednostek MO z prośbą o pomoc.

Jak przebiegała się, jakie podejmuje się kroki, aby nie dopuścić do demoralizacji nieletniego, któremu grozi rżenie się na drogę przepięczności? Należy stwierdzić, że zarówno funkcjonariusz MO, jak nauczyciel w szkole czy sędzia dla nieletnich zbyt często kierują się nie zawsze w praktyce słusznym założeniem, że skoro nieletni posiada rodziców-opiekunów, to opieka roztoczona nad nim musi być dobra. Stąd też właśnie niedostateczna i niejednokrotnie opóźniona reakcja z naszej strony na częste zaniedbania ze strony rodziców, stąd też koncentrowanie całej uwagi tylko na osobie nieletniego i to dopiero wtedy, kiedy proces demoralizacji już się rozpoczął, kiedy nieletni źle się zachowuje, dopuszcza się wykroczeń, wagaruje ze szkoły, ucieka z domu itp.

Sądze, że największe możliwości uświainiania rodzin, w których dzieci są pozbawione właściwej opieki wskutek niemoralnego trybu życia rodziców, albo też rodzin, które nie są w stanie wywiązać się ze swoich obowiązków wobec dziecka wskutek chorób, kalectwa, obarczenia zbyt liczną rodziną — mają komitety blokowe, sąsiedzi, funkcjonariusze MO (dzielnicy), członkinie Ligi Kobiet, instytucje zatrudniające rodziców czy opiekunów, jak również nauczycielstwo, które winno znać środowisko domowe nieletniego zwłaszcza, gdy dziecko przychodzi do szkoły w stanie zaniedbanym (brudne, niedostatecznie odziane, używające wulgarnych słów itp.).

Natomiast w wypadkach mniej rżących, kiedy to rodzice cieszą się dobrą opinią, prowadzą spokojny, uczciwy tryb życia, a jednak wskutek stosowania niewłaściwych metod wychowawczych doprowadzają do demoralizacji nieletniego — największe możliwości natychmiastowego zapobiegania ma nauczycielstwo w szkole, które może stwierdzić, co jest przyczyną niewłaściwego zachowania się ucznia i przyjąć z pomocą rodzicom lub opiekunom, wskazując im, jakie winno być ich postępowanie wobec dziecka.

Trzeba stwierdzić, że w bardzo wielu wypadkach sygnalizują o braku opieki nad dziećmi i komitety blokowe, i obywatele, i nauczyciele, i funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej, a jednak nie zawsze opieka nad nieletnimi jest ustanawiana i nieletni ulegają dalszej demoralizacji, w końcu stają przed sądem karnym dla nieletnich.

Czym należy tłumaczyć te fakty? Oto przykłady, które mogą posłużyć jako wyjaśnienie.

Jeden z komitetów blokowych w Stalagrodzie sygnalizował sędziemu opiekunemu Sądu Powiatowego rodzinie P., w której matka-dowoda wskutek choroby była niezdolna do pracy. Utrzymywała całą rodzinę (8 osób) 14-letnia córka zarabiająca około 400 zł. Troje starszych dzieci w wieku 10, 12, 13 lat do szkoły nie uczęszczało, zajmowało się zbieractwem, włóczyło się, wałęsało, troje najmłodszych chorowało na gruźlicę i krzywicę. Sędzia opiekun w kwietniu 1954 r. nakazał natychmiastowe umieszczenie dzieci w odpowiednich zakładach. Do sierpnia 1954 r. Wydział Oświaty Rady Narodowej orzeczenia Sądu jeszcze nie wykonał.

3.VI. 1954 — Komenda Miasta Milicji Obywatelskiej w Lublinie powiadomiła sędziego opiekunego Sądu Powiatowego o głodzeniu i maltretowaniu nieletniej Teresy R. przez ob. Helene Sz., przyjaciółkę ojca nieletniej. Przesłuchani świadkowie potwierdzili na rozprawie fakty znęcania się nad 11-letnią dziewczynką. Sąd w swoim postępowaniu powołał się na art. 30 k.p.c. i sprawę umorzył. Nieletnia nadal przebywa w domu.

Ob. P. z Wolomina w styczniu ub. roku zainteresowała się dziećmi rodziny F., ponieważ w rodzinie tej sześciu dzieci od lat 13 do jednego roku wychowywało się w warunkach gorzej niż antysanitarnych, do szkoły żadne nie uczęszczało, a ojciec, nałogowy alkoholik, znęcał się nad dziećmi, bijąc je. Dwunastoletni Fredek od trzech lat przebywał poza domem, podczas wędrówki „zaparkowała” się nim szajka złodziei, 13-letnia Janina również uciekła z domu. 3-letnie dziecko wskutek niedożywiania nie chodziło jeszcze i nie mówiło. Ob. P. starała się o umieszczenie dziecka w którymś z zakładów. Wydział Oświaty „załatwił” tę sprawę przeszło rok i to obecnie chwili nie załatwił jej ostatecznie.

Ob. P. zajęła się również 14-letnim chłopcem, usuniętym ze szkoły za chuliganstwo. Chłopiec był wyjątkowo niezdolny, 2 lata chodził do 4-jej klasy i do 5-jej nie przeszedł. Jego stan fizyczny nie pozwalał na skierowanie go do pracy. Ob. P. postarała się, aby go przyjęto do szkoły wieszorowej, i ofiarowała mu pomoc w nauce. Kierownik szkoły wyraził zgodę na przyjęcie, ale Wydział Oświaty odrzucił podanie, ponieważ chłopiec cieszył się złą opinią w szkole, z której został usunięty jako chuligan. Nie można się też dziwić ob. P., że w jednym z listów pisze: „Wieg zostawia się dziecko poza szkołą, niech naprawdę z próżniactwa stanie się tym chuliganem. Tak więc prasa, zachłystując się troską o dziecko, my, szerokie

maszy obywateli, czytamy to, a jednocześnie widzimy dzieci chowające się w nieodpowiednich warunkach poza szkołą, dzieci, które będąc za młode do pracy, wałęsają się i robią głupstwa. Może by więc prasa, zamiast pisać felietony pełne poezji, paucząc nas, że wychowywać własne dziecko dobrze to nie wszystko, że trzeba rozglądać się, czy inne dzieci wkoło nas nie są krzywdzone, raczej pouczała szerokie masy czytelników, dokąd mają się zwrócić w różnych sprawach i ułatwiała im spełnianie obowiązków obywatelskich. Ja czytając taki felieton w „Życiu Warszawy” śmiałam się ironicznie, bo po blisko rocznych zabiegach stałam w martwym punkcie ze sprawą dzieci rodziny F., a czy tylko ja miałam powód do śmiechu?”

Wypadków tego rodzaju i podobnych głosów uczciwych obywateli można byłoby przytoczyć daleko więcej.

Każda sprawa przewlekła załatwiana przez sędziego opiekunego, każda sprawa, w której zapada niewłaściwe orzeczenie, każda sprawa, która wpłynęła do Sądu Powiatowego i w ogóle nie została rozpatrzona na skutek braku odpowiedniej osoby powołanej do wyłączonego zajmowania się sprawami opiekuńczymi w danym Sądzie Powiatowym, każde orzeczenie niewykonane przez Wydział Oświaty — rodzicieli jednego nieletniego przestępstwa, bo za każdą sprawą (opatrzoną co prawda w myśl przepisów biurowych liczbą dziennika) kryje się dziecko pozbawione wła-

nia, w domu pijaństwo, awantury, nieletni się nie uczy, ani też nie pracuje. A jednak w sprawie zapada orzeczenie: zakład poprawczy z zawieszeniem na 2 lata. Nieletni wrócił do domu i... po pewnym czasie znów znalazł się w sądzie.

W sprawie nieletniego Jana B. komisarz we Wrocławiu informuje, że chłopiec jest półsierotą i ojciec utrzymuje się z renty, prócz nieletniego w domu jest jeszcze dwoje dzieci. Na rozprawie nieletni przyznał się do tego, że dopuszczał się kradzieży w szkole. Postanowienie sądu brzmi: „Z uwagi na okoliczności czynu, warunki życia środowiskowe nieletniego — sąd uważa za wystarczające udzielić upomnienia nieletniemu”. Czynniki, które winny przyjąć z pomocą rodzinie B., nie zostały przez sędziego zaalarmowane. Nieletni znów po pewnym czasie znalazł się w sądzie.

W sprawie nieletniego Herberta i Zygryda S., którzy się dopuścili kradzieży, funkcjonariusz MO ograniczył się do skierowania sprawy do sędziego w sprawach karnych, mimo że informacja zebrana w środowisku nieletnich wymagała natychmiastowego powiadomienia rady narodowej i sędziego opiekunego, gdyż w rodzinie oprócz tych dwóch chłopców było jeszcze siedmiu dzieci, z których żadne nie uczęszczało do szkoły; dzieci nie nocowały w domu, sypiały na strychu, w piwnicach itp. W mieszkaniu brud, ojciec często się upijał.

A czy właściwa była postawa sędziego dla nieletnich Sądu Powiatowego w Zielonej Górze wobec

sędzia nie dociekał wnikliwie przyczyn demoralizacji nieletniego i nie spowodowali usunięcia ich. Są to również ci, od których po wyroku sądowym odwróciła się szkoła, organizacja ZMP, kierownictwo zakładu pracy.

A więc nieletni zetknął się już z Milicją, z sądem, zdaje już sobie sprawę z tego, że nim się dostanie do zakładu poprawczego, który jeszcze robił na nim „wrażenie”, to najpierw otrzyma upomnienie, a potem dozór rodziców, a potem dozór kuratora, a potem zakład z zawieszeniem itd., itd. A jeżeli nawet zakład poprawczy, to już zdążył się dowiedzieć, że to też nie takie znów straszne, bo stamtąd można uciec i wcale za to nic nie grozi, najwyżej zostanie przeniesiony do innego zakładu poprawczego. W międzyczasie nieletni recydywista demoralizuje dziesiątki innych nieletnich.

I znów stajemy przed problemem czy wszystkie zakłady poprawcze posiadają odpowiedni personel, taki, który potrafi zawrócić chłopca lub dziewczynkę z niewłaściwej drogi. Fakty podane przez Łastika jak i również częste wypadki ucieczek nieletnich z tych zakładów, kiedy to zbiegowie dopuszczają się nieraz bardzo poważnych przestępstw, zeznania składane przez wychowanków tych zakładów — świadczą o tym, że nie wszystkie zakłady poprawcze spełniają swoją rolę.

Jak zaznaczyłam na wstępie, celem moim było wskazanie zasadniczych niedociągnięć w pracy nad moralnie zaniedbanymi. Bezsprzecz-

„Nowa Kultura” w oczach czytelników

Więcej dyskusji

Dobrze się stało, że „Nowa Kultura” u progu 5-lecia swego istnienia powziła myśl ogłoszenia otwartej ankiety wśród ilościowo znacznego kręgu swoich czytelników, na temat „oblicza” człowieka tygodnika w Polsce poświęconego sprawom literatury. Ankieta z jednej strony daje odbiorcom pisma okazję do wysuwania swoich postulatów i ewentualnych projektów reformowania jego lamów, z drugiej — stanowi dla członków redakcji niezastąpione źródło bezpośredniego zaznajomienia się z reakcją „terenu” na swoje redakcyjne poczynania.

Będąc od kilku już lat sumiennie i wyrzuciłem czytelnikiem każdego numeru „Nowej Kultury” pragnę, korzystając z nadarzającej się okazji, wysunąć kilka uwag będących zarazem odpowiedzią na niektóre pytania ankiety.

Otóż najchętniej i z prawdziwym zainteresowaniem czytam w tygodniku wszelkie dyskusje, spory i polemiki na tematy związane oczywiście z literaturą. Niestety, ze smutkiem stwierdzę, że artykuły z tego działu pojawiają się rzadko, znikają jak meteory, ledwo zdolawszy oślnic czytelników byskotliwścią talentu polemicznego ich autorów. Mogiby w tym miejscu ktoś rzec, że nie jest to w całej rozciągłości winą Redakcji, że przyczyną tego stanu rzeczy mają o wiele szersze podłoże, ogólniejszy charakter. Bo niby co „biedna” Redakcja może poradzić, gdy wybitne osobistości naszego świata sztuki i literatury nie kwapią się za bardzo do dyskusji? W takim stanowisku jest jednak załedwie cząstka prawdy. Członkowie zespołu redakcyjnego poważnie o zasięgu ogólnopolskim pismo kulturalne są — moim zdaniem — w pewnym sensie zobowiązani do inicjowania szerokich, zasadniczych i dogłębnych dyskusji przyczynających się w jakimś stopniu do podniesienia na wyższy poziom nierówny jak dotychczas ideowo-artystycznie twórczości literackiej i to zarówno w prozie jak i w poezji.

Przyznać trzeba, że jak dotychczas Redakcja może się przed swoimi czytelnikami wylegitymować kampanijnym przeprowadzeniem przez swoje łamy dyskusji obejmujących sprawy współczesnej poezji, literatury 20-lecia międzywojennego, sprawy podreżników i wychowania młodzieży. Za to wszystko należy podziękować.

Jednakże, jak na 5-letni okres istnienia pisma, to stanowczo za mało. Problem nurtujących społeczeństwo w zakresie literatury jest znacznie wieloaspektowy. Poza tym w takiej polemice literackiej contra historię literatury w sporze o 20-lecie więcej może być jakiegoś wyżywiania się autorów w osobistych napasach, aniżeli treści merytorycznej. Obie „strony” posiekawszy literaturę międzywojenną na mniejszą lub większą ilość nurków i nurtów pozostawiały czytelnika w stanie dotychczasowej znakomitej niewiedzy.

Zrozumiałe, że w takiej sytuacji rezultat ostateczny — pomijając chwilowe zainteresowanie czytelników — jest dość niski.

Ze swej strony proponowałbym inicjowanie dyskusji bądź drukowanie chociażby artykułów o estetyce marksistowskiej, teorii literatury. Dzisiaj kwestia ta wygląda w ten mniej więcej sposób, że o wiele łatwiej zdobyć prace dokonujące drugoczącej krytyki idealistycznych, reakcyjnych prądów teoretyczno-literackich, niż znaleźć materiały traktujące o tym w sensie pozytywnym, konstruktynego wykładu. Jest rzeczą zrozumiałą, że problemy te nie doczekały się jeszcze u nas pełnego naukowego opracowania, w Polsce o ile mi wiadomo, nie ma zbyt wielu ludzi zajmujących się głębiej tymi sprawami. Ale też uwzględniwszy powyższe przeszkody — prosta jest na razie na jakichś czasokresach, nawet wycinkowych zagadnieniach estetycznych. Ostatecznie w 6-ty rocznicę programowego sformułowania zasad realizmu socjalistycznego w naszej literaturze, są chyba w kraju ludzie mający choć przybliżony pogląd o tej problematyce, zwłaszcza, że powstają nawet dzieła oparte na marksistowskich zasadach.

A teraz z innej beczki. Nie sądzę, aby cotygodniowe felietony filmowe silące się na oryginalność krytyki mogły na dłuższą metę interesować. Zastrzegam się, że występuję tu tylko przeciwko regularności, bo owszem, były niektóre z nich dobre, ale i te — tylko i wyłącznie winny ujrzyć światło dzienne.

Pozytywnie natomiast oceniam artykuły, wiersze i felietony satyryczne zamieszczane na ostatniej stronie pisma. Co tu wiele mówić, śmiać się lubimy wszyscy i nie ma wyraźnego powodu skazywania czytelników wyłącznie na „Szpilki”.

Podobnie dodatnią rolę spełnia przedostatnia strona „Nowej Kultury” informująca w skrócie o różnych wydarzeniach kulturalnych za granicą. Czytelnik pociesza się, że lepsza skromna notatka niż nic, bo chyba tylko brakiem miejsca wytłumaczyć można „nieobecność” w czasopiśmie szerszych artykułów traktujących o literaturze postępowej Zachodu czy literaturze radzieckiej.

S. M.
Warszawa

Niedobrze z tą krytyką

Wiele kłopotów nastęca danie jakiejś oceny „Nowej Kultury” o momencie jej powstania do dziś. Za główne osiągnięcie pisma uważam, że „Nowa Kultura” skupiła wokół siebie najbardziej zdolnych pióra. Ale jest to ocena zbyt ogólna.

Jak czytałem i czytam pismo ja sam? W początkowym stadium istnienia „No-

wej Kultury” z obawą siegałem po jej numery, gdyż wydawały mi się nudne i mało interesujące. Dlaczego? Trudno było mi zdobyć się wówczas na trątną odpowiedź. Bynajmniej nie zrezygnowałem jednak z czytania pisma. Górę wzięła ambicja i szczególna cecha: upor. Mówiłem sobie: noż i widelec, tak długo nie potrwam, zmienię się. Rzeźniczkę, następne numery wydały mi się lepsze. Może po prostu — nauczyłem się czytać pismo tego typu? Fakt, że w miarę upływu czasu pismo stało mi się coraz bliższe, niektóre reportaże, opowiadania pasjonowały mnie wprost. Pamiętam, że od chwili kiedy pojawił się Tadeusz Borowski i jego „Mała kronika” zacząłem szukać przede wszystkim nazwiska tego pisarza. Zazwyczaj zaczynałem czytać każdy numer od końca. Przecież na ostatniej kolumnie drukowano właśnie „Małą kronikę”. Myślałem wtedy: Borowski to „Nowa Kultura”.

Jak widzę „Nową Kulturę” dzisiaj?

Dziś najwięcej interesują mnie publikacje z dziedziny krytyki literackiej. Już w pewnym sensie weszło mi w krew, że nie wezmę żadnej książki do ręki, nim nie przeczytam o niej recenzji. Ostatnio obserwuję pewien kryzys naszej krytyki literackiej. Podobno gdzieś na poligonie strzelają działa, a tylko nasza krytyka wciąż strzela z procy. Taki jest i mój i powszechny sąd czytelników. Nie mam tutaj zamiaru prowadzić myśli za tokiem rozważań Wirsy z jego wypowiedzi w „Życiu Literackim” (Nie tylko jego artykuł jest sygnałem alarmowym. Można przytoczyć inne). Nie moja też rzecz szukać istoty, przyczyn i skutków tego kryzysu. Ale na pewno naszym krytykom brak odwagi i żarliwości. Jak to wygląda w „Nowej Kulturze”? Gdy na przykład pismo otworzyło dyskusję nad „Władzą” Konwickiego — zechciało w niej zabrać głos tylko wąskie grono krytyków. Dlaczego? Wydaje się, że większość zajmowała pozycję wyczekującą. Dziwi mnie też dlaczego nie doczekało się recenzji opowiadania Konwickiego „Godzina smutku”. Wszędzie wywołuje ono dyskusję, a krytycy „Nowej Kultury” odkładają je na bok. Już nawet dodatki kulturalne do gazet wojewódzkich zamieszcili o „Godzinie smutku” swoje uwagi, tylko „Nowa Kultura” zapominała.

Zorganizowano więc dyskusję o „Władzy” a zapomniano o jej podsumowaniu. Rozpoczęto też szereg innych dyskusji. Chociaż niejednokrotnie nabierały rozpędu i oddechu, to zazwyczaj rzadko można było spotkać podsumowanie. A przecież w takiej dyskusji ścierają się różnorakie poglądy i stanowiska, nieraz przeciwstawne.

Znamionuje kryzys krytyki w „Nowej Kulturze” brak rzeczowej i gruntownej analizy wielu pozycji książkowych. Zazwyczaj spotyka się utarty szablon: że ujęcie problemu za płytkie, błędy są, ale i pewne zalety też, zaś pisarz ambitny, więc w przyszłości błędów nie powtórzy. Czy naprawdę nie można poddać dzieła artystycznego gruntownej analizie? Są w piśmie takie recenzje, ale bardzo rzadko. Przykłady: dwugłos o „Jaworowym Domu” Macha, Błonskiego i Leopoldowej; recenzja Matuszewskiego „Lewantów” Brauna oraz „Wilki” Staffa. Recenzje Matuszewskiego dużo uczą, są wszechstronne, jakies „pełne”. Na równi z recenzjami Matuszewskiego podobają się mi też recenzje Lasoty. Ten model krytyki pisze odważnie. Obok recenzji jestem zwolennikiem dobrego reportażu. Z reportażu opublikowanych w „Nowej Kulturze” najbardziej cenię reportaże Kozickiego z Nowej Huty i Brauna z Korei. Wiele mam jeszcze uwag, którymi chciałbym się z Wami podzielić. Ale wiem co znaczy w piśmie 8 (załedwie) stron.

Jerzy Hlond
Warszawa

Głos rozczarowanego

Każdej soboty kupuję regularnie „N.K.” z myślą: a może będzie w tym numerze choć jeden artykuł, który mnie zainteresuje, nad którym będę mógł się głębiej zastanowić?

Otóż... Przecież muszę, że w większości wypadków spotykało mnie rozczarowanie. Ale nie zawsze. Np. w okresie VI Zjazdu Z.L.P. z przyjemnością czytałem „N.K.”.

Inaczej oceniam natomiast publikacje z II Zjazdu pisarzy radzieckich, jakie ukazywały się na łamach „N.K.”, „Przeglądu Kulturalnego” i „Życia Literackiego”. Sprawozdania te spływały to tak doniosłe wyrażenie. Czyż nie można było przynajmniej jednego z referatów wygłoszonych na II Zjeździe pisarzy radzieckich przytoczyć w całości? Szkoda, że czytelnik nie zetknął się z żywym oryginalnym słowem.

Druga sprawa: w ostatnich numerach „N.K.” ukazywały się artykuły na temat moralności, i o wychowaniu młodzieży. Nie chce polemizować z autami tych artykułów, ale pytam, czy nie byłoby wskazane, aby na temat wychowania młodzieży wypowiedziała się sama młodzież?

Trzecia sprawa: Dlaczego w „N.K.” pisał ciągle jeden i ci sami publicyści? Dlaczego tak mało znajduje się artykułów z terenu listów nad prostych ludzi. Przecież „Nowa Kultura” nie jest pismem dla jakiejś elity, ale dla szerokiego czytelnika.

Godfryd Pyka

Przysówce, pow. Rybnik

SEWERYNA SZMAGLEWSKA

PROSTA DROGA ŁUKASZA

Nie płynie tamtędy rzeka. Nie szumi las. Nie przecinają horyzontu kontury gór, wzgórz czy chociażby pagórków. Nie ma tam jeziora ni stawu. Równina i szarość od krańca po kraniec widnokręgu. Kilkanaście dołów przy drodze drzemiących pod nawisami słomianych strzech, za domami pole, przed nimi łąka. Więcej nic.

W tej nicości życie cieknie nijako, jak deszczówka spływająca z dachu i drążąca w piaszczystej glebie znikomy ślad, życie tam cieknie jak woda w przydrożnym rowie. Nawet niedza nie jest tam taka, żeby jej ksiądz proboszcz z Omlotów nie miał poczynać za rzecz zbawioną i potrzebną, za naturalną konsekwencję grzesznych pragnień, za karę doczesną, pozwalającą uniknąć kary gorszej, po śmierci. Któż by się przeciwko takiej niedzy buntował?

Rządowe hasło „frontem do wsi” blaknie na kolorowych plakatach wywieszonych w mieście, ale jak wiadomo, plakatami biedy nie da się zalepić.

Sprawa Łukasza Michalaka na pewien krótki czas poruszyła ludzi w Pioletnie — tyle, co kamień spadający do wody poruszy powierzchnię, rozkołysze kręgi, małe fale pogoni do brzegu — a potem znowu spokój i znowu zastój.

O Łukaszu nie więcej myślano, niż się myśli o życiu cyranki latającej nad łąkami, mającej gdzieś w trawie swoje gniazdo i stanowiącej nierozdzieloną część krajobrazu łąk.

Chłopaków takich jak on spotkać można po wsiach na każdym zastopie, nad każdym rowem, na każdym pastwisku.

Szara godzina, nad ranem, kiedy rozwierał bramę w Jankowskich i wypędzał krowy, ten i ów jeszcze spał we wsi, ten i ów obracał się na drugi bok pod rozprężoną pierzyną. Wiosną było zimno, rosiła wilgoć leżąca na trawie czasami brała na siebie srebrną powłokę szronu. Nogi marzły. Podnosił więc to jedną, to drugą, kulił stopę, rzucał palcami próbując wszelkich sposobów rozgrzewki.

O tej porze godziny płynęły najwolniej. Łukasz nie mógł się doczekać uczniów idących do szkoły, co znaczyłoby, że jest już koło ósmej, że powinno się wkrótce ocieplić.

Maj był tego roku wyjątkowo dżdżysty.

— Suchy kwiecień, mokry maj, będzie żytko kieby gaj! — mówili sobie zadowoleni gospodarze. Łukasz z głową okrytą złożonym podwójnie workiem, ociekał strumieniami wody, lecącej mu po czole, po nosie, przenikającej za kołnierz i na piersi. Jak drzewo pośród pola, tak on tkwił na deszczu pilnując krów.

Usiłował czymkolwiek zająć myśl, żeby przedrzeć przetrwać czas poranny. Zgadywał na przykład, kto następny wstanie i wyjdzie do roboty. Zauważył, że Marcelina Daniełowa, żona pioletńskiego nauczyciela, biegła do ogrodu skoro świt, wcześniej niż inne gospodynie, i krzątała się przy grządkach aż do chwili, gdy Daniel wołał przez okno: „Marcelo, zapal ogień! Śniadanie! Spóźni się do szkoły!” Znaczyło to, że już jest siódma. Wedle takiego zegara Łukasz liczył godziny upływającego czasu.

U schyłku maja deszcze ustaly, nadeszła pora ciepłych dni. Z początkiem czerwca upał rozpostarł się nad ziemią, nad pozbawioną cienia drogą rozprężając pył; upał nabrzmiewał zapachami torfiastej łąki, traw i kwiatów kwitnących na czarnych mokradłach, upał wchodził przez otwarte okno do szkolnej sali, tumaniąc głowy uczniów zgromadzonych nad książkami. Z daleka, z głębi ciszy dolatywał niekiedy ledwo uchwytny pospiew czajki wapiącej w locie swoje „pi-hiti! pi-hiti!”. Kiedy indziej, gdy w izbie szkolnej zapanowała cisza między jednym a drugim nawrotem dukań, stuch uczniów rozróżniał dźwięki długiej, nie mającej początku ni końca, śpiewanej na różne melodie pieśni pastwisk:

O, di ridi o, da dana!

Tadi ridi, ta-da, dana!

Po chrypcie nadającej głosowi niski, buczący ton poznawano Łukasza. Podnosiły się głowy, ten i ów z uczniów zerkał w stronę okna i strzygł uszami pragnąc odgadnąć, ile jeszcze czasu pozostało do chwili zakończenia lekcji.

Podczas każdej pauzy chłopcy wybiegając na drogę widzieli z daleka krępką postać Łukasza ubranego w stare portki po ojcu obficie wytłane, w zbyt długą i zbyt luźną kapotę wojskową, którą otrzymał jako wynagrodzenie od gospodarza, i w kaszkiet z przełamanym po środku daszkiem, spadający głęboko, aż po uszy, na których się wspierał, a które przyklapione tak, sterczały na boki zmieniając zupełnie

nie wyraz jego twarzy. Nikt by nie powiedział, że ten podobny do stracha na wróble niski chłopak skończył właśnie przed miesiącem siedemnaście lat. Stopy Łukasza były białe i wydawały się małe, niemal dziecięce przy tak obszernym i karykaturalnym stroju. Dostrzegłszy chłopców na drodze przed szkołą dawał im znaki, podskakiwał wysoko bijąc się piętami i dłońmi po siedzeniu, stawał na głowie, przy czym zbyt obszerne nogawki zjeżdżały w dół odsłaniając napięte mięśniami nogi. Gdy chłopcy znikali w budynku szkolnym, Łukasz powracał znowu do swej monotonnej lamentacji, do swojego śpiewu:

O — di ridi — o — da, dana,

Tadi ridi, ta — da, dana.

Trzy lata temu skończył szkołę jako najlepszy z uczniów, jako najweselszy organizator gier i zabaw, jako pomocnik nauczyciela umiejący przesłuchać młodszych kolegów z tabliczki mnożenia i z wierszy. Początkowo przybiegał na lekcje śpiewu, brał udział w przedstawieniu, kiedyś wyszorował podłogę w obydwu klasach, uzupełniał zielniki. Później został pastuchem u Jankowskiego i miał jedną tylko pociechę: pastwisko zaczynało się kilkadziesiąt metrów za szkolnym podwórkiem, był więc w pobliżu kolegów, blisko nauki, blisko tego magnesu, który go ciągnął i przykuwał. W pogodne dni, gdy okno szkoły otwierano, Łukasz widział głowy kiwające się nad książkami. Spoglądał tam, to znowu na drogę, skąd nadchodzili starzy i młodzi pastarze pedząc bydło. Najwcześniej zjawiała się jego rówieśnica, Kasia Sumacz przezwana Kaldunizną z racji wypukłego brzuszka; mała, śniada, gnała swoją czerwoną krowkę, wycierając zza jej zadu błyskami czarnych ślepiów i różkami odstających, twardo splecionych czarnych warkoczyków. Otwierała usta szeroko i sepieniąc, jakby jej język był pędzelkiem albo kłębkami zmoczonej waty, wyciągała niezwykle cienkim głosem:

O — ooo, zachodź że słońeczko,

O — ooo, bo mnie bolą nóżki

za gaskami chodzić.

Wiedzano, że Kasię nigdy nie bolały nóżki — była najszybsza spośród młodzieży Pioletki, we wszystkich biegach, we wszystkich wyścigach ta mała czarna kulka toczyła się na przód i zostawiała daleko za sobą innych, nawet najsilniejszych.

Za Kaldunizną przybiegał gruby Franek Rokseła, zwany Beksaksa, który chętnie pał cudze krowy nie mając własnej.

Zięta we dwoje sunęła drożyną stara Balbinka, wyrobnica od kółki do zgonu, zarabiająca już tylko na „łyżkę warzy”.

Andzia Adamczykówna gonila dwie chude, wygłodzone, długonogie czarnule — swoją i stryjową — które szły przystając i już po drodze usiłując pochwycić wargami nieco zielska. Nie pomagał kij ani adzina w karczynie nabyte wyzwisła — krowy były powolne i na wszystkie przynaglenia obojętne. Skutkował środek ostateczny. Gdy Andzia chwylała bydelko za ognio, krowiska puszczaly się cwałem i niosły rozkołysane w biegu brzuchy, telepiąc się coraz szybciej. Uczepiona ogonów dziewczyna krzyczała przeraźliwie:

Hej, wy stare parasole!

Tak ściskając oba krowie chwosty wpadała triumfalnie na pastwisko. Był to jeden z jej popisów, obok jazdy wierzchem na grzbiecie „starego parasola”.

Z daleka już wołała tonem zaczepnym:

— Łukasz! Łukasz, czego szukasz?

Łukasz milczał.

— Ziałów na rosół! — odkrykiwał Beksaksa, po czym Łukasz odpowiadał jedną sylabą, najniższym jak mógł, aż ochryplym głosem:

— Beee!

Zaczynała się zabawa. Łukasz, najstarszy z chłopców, przewodził gromadzie. Pastwisko na Dolach zastępowało wiejskiej młodzieży stadion sportowy; instynkt życia społecznego w połączeniu z potrzebą ruchu, śmiechu, zrzeczności, spełniał rolę instruktora. Zabawy były różne, wiadomo jak różne bywają zabawy na pastwisku.

Gonitwy, wyscigi, skoki przez wodę stanowiły codzienny program. Ulubioną grą była tak zwana „świnia”, mająca zasady prymitywnego golfa, przy którym jednak eleganckich kijów golfowych nie używano.

poprzedzając już to na starej wargachy świnięj matce spod ręki, już to na zwykłym kiju odznaczającym się w najdosłowniejszym znaczeniu dwoma końcami: jednym do gry, drugim do nawracania krów. Pilkę zastępował okrągły kamień.

Podskakujący, podnieceni gracie krzykliwych słów doniosłe, jak zakłęcia:

— Piłka do dołka! Piłka do dołka!

Kamień frygał po łące, po szerości, otwartej przestrzeni, kije świsły w powietrzu, białe nogi przeplatwały nad ziemią, jakby miały mocne, niewidzialne skrzydła u pięt. Wiatr pachnący łąką chłodził spocone czoła pastuchów.

Niekiedy ten czy ów strofował łrowy znużone rolę publiczności na zawodach, ryczące przeciągle lub wymykające się cichcem w szkoda. Bieg z wymachami kija, fachowy krzyk, rozumiały był najzupełniej dla bydła:



Rys. Barbara Kusak

NAGRABIECKI WIERŚZE SZCZĘŚLIWA

Uniosłem ją na rękach
mocnych i pewnych
(zawsze chwaliła moje zdecydowanie).
Uniosłem, żeby pokazać,
jak się lekko idzie przez życie —
Myślałem:
sam potknę się o kamień,
ale jej nie pozwolę,
sam uprawię ziemię,
ale jej nie pozwolę,
sam zbuduję dom,
w którym z nią zamieszkać,
ale jej dotknąć budowy nie pozwolę,
sam pobiję naszych wspólnych wrogów
i zasłonię ją od złych wiatrów,
ale ona o tym nigdy się nie dowie —

Nagle usłyszałem szloch płaczącej:
o jakże była nieszczęśliwa,
wiedla jak kwiat bez słońca i wody,
płakała jak dziecko, któremu
zabrano zabawki i bajkę.
Odtąd razem ze mną
potykała się o kamienie,
uprawiała ziemię, budowała dom,
biła się z wrogami i nie stroniła
od wiatrów, jakże odtąd
jakże odtąd,
o jakże odtąd szczęśliwa.

OGRODNIK

„Uczyły mnie gwiazdy nadziei,
uczyły mnie kwiaty piękna,
uczyły mnie mrówki porządku,
uczyły mnie pszczoły pilności” —
mówił stary ogrodnik, przecierając chusteczką oczy.
„Po co mi nowych piękności w wierszach,
kiedy żadnego ani porównać do kwiatu.
Po co mi nowych mądrości w księgach,
kiedy ludzie uczą się, żeby się potem zabijać.
Po co mi nowe porządki i wzory,
kiedy żadnego ani porównać do mrowiska” —
mówił stary ogrodnik,
a oczy jego nabrały blasku zdumienia,
kiedy ktoś położył na stole
pomidor wielkości dyni.

Stary ogrodnik częstował się, smakował,
oczy wznosił ku niebu, a potem...
potem gorzko zapłakał
i z każdą łzą spływającą
po umorusanym ziemią policzku
umierał dawny, stary ogrodnik
i rodził się nowy.

już chlup! — można pływać i nurkować bez najmniejszej obawy.

Chłopcyska otęszali się mocno, siniali nosy, policzki, całe ciało.

— Zimna woda! Dobra woda!

Nie spozstrzegł, że między redlinami kartofli sunie ktoś kryjąc się starannie i nisko chowając głowę. To właściciel działki Rokseła, za gęstwą tataraku podpełził blisko, zgarnął ubrania kąpiących się chłopaków i umykał. Dopiero wołanie Kasi biegnącej od łąk i dającej znaki wyrwał chłopców z lodowatej kąpieli. Skakali nago dokoła źródła ludząc się, że gdzie indziej zostawili odzież. Dostrzegłi Roksele. Gromadą popędzili za nim w stronę wsi. Rokseła nie skradł się już, kroczył spokojnie redliną pomiędzy kartoflami niosąc pod lewą pachą kłęb ubrań, pod prawą naręczę zielska. Zdążył wskoczyć do swojego małego, przekrzywionego domku, skąd wyszedł natychmiast, a za nim po kolei żona, córka, przyszyli zięć i mały Franek Beksaksa. Naga gromada wpadła na podwórze, chciała się pchać do izby, gdy nagle Rokselowie wzniesli ramiona tnąc gołe plecy pękami wielkich pokrzyw. Równocześnie Rokselina i jej córka przekrzykiwały się wzajemnie.

— A wy nicpoty, tuście przyszli? Do źródła? Jazda stąd! Mota zia-by! Mota zia-by! Taką wodę mamy pić? Rosół na ziabach gotować? A wy bezkurcyje!

Nadzy runęli w otwartą furtkę i drogą przed siebie, na ślepe. Rokselowie za nimi omiatając umykających pastuchów pokrzywianymi miotłami. Łukasz wybił się na czoło gromady. Nie czując piekących jakby ogniem uderzeń opamiętał się jakoś, pozbierał orientację. Błysnął oczyma po wsi, poznał gospodarstwo muzykantów. Odwrócił się w pędzie, nieszcześnie głośno, biegnąc patrzył na jego szarą od pędów twarz oczekując decyzji.

— Chłopaki! Do muzykantów!

Zdażyli wskoczyć na podwórkę i zatrzasnąć furtkę. W progu stanął Adamczyk i w mig zrozumiał, co się dzieje. Miał takie długie wasy, że bez obawy mógł się pod nimi śmiać, ile chciał i kiedy chciał, tego nikt nie poznał. Rokselowie teraz dopiero odróżnili pośród gołych zadków ten jeden, który należał do utożsamiającego na nogę Wacka Adamczyka. Stanęli zakłopotani. Rokseła przystąpił z nogi na nogę, cmoknął.

— Te niepoty ziałów mi nawrzucały do źródła. Źródło malutkie, ale czyste. Mnie się studnia zepsuła i już parę dni ze źródła wodę bierzemy.

Chłop mówił pomału cmokając, to spoglądając w górę, to drapiąc się po głowie. Rokselina patrzyła na niego przynaglając gestami i przy-

pominając, o czym jeszcze należy powiedzieć.

Przerwała w końcu mężowi i zaczęła szybko jazgotać łapiąc powietrze błyskawicznie, w środku słów, jakby w obawie, by jej ktoś nie wpadł w mowę.

— To chuncwoty! Leję wczoraj wodę w garnie na kartoflanke, a tu mi ziała chlup! No i co wy powiecie, dobrzy ludzie? Byłby się rosół ugotował, żeby nie spostrzegła! Leję wodę do żeleźniaka, patrz, a tu ziała!

Stadko gołych pastuchów i krzykliwy głos Rokseliny zaczęły ścierać sąsiadów. Na płocie z prawej strony wsparła się Filipkówna, drogą szedł Mazerant, przystanął, z ogródka po lewej stronie wyjrzała wyrobnica zajęta okopywaniem. Widać ogólnie zainteresowanie, rozkrzyczała się i jasnowłosa córka Rokselów.

— A kartofli to nam nie podbierają na jesieni, co?

Wszystkie oczy były zapatrzane na jej zaróżowioną od biegu, zagniewaną ładną buzię, nikt więc nie zwrócił uwagi na to, że mały Franek, jej brat stojący przeciwko nagusom z pękiem pokrzyw, oblał się w tej chwili purpurowym rumieńcem. Rokseła podjął uwagę córki.

— Ale! Kartofle! Co podbiorą, to podbiorą, pies ta z nimi tancował, ale ile zmarują?

— Ile rozgrzebią? — krzyknęła Rokselina.

— Ile podepczą? — dodała córka.

— Ile uschną? — uzupełnił narzeczony córki.

— A teraz, na przednówku, to i do kopca trafił! — zakończył Rokseła.

Oczy nagusów uderzyły w zacierwienionego i spoconego Franka.

— Miałem nie łać pokrzywami?

— Rokseła rozłożył ręce, bezradny, mały, chudy.

Adamczyk rozsupłał woreczek z machorką, podsunął Rokseli, podał bibułkę.

— Zapalisz?

Później poczęstował też narzeczonego Rokselanki. Rozluźniło się napięcie. Mężczyźni powoli, starannie, zwiłali papierosy, pociągając języka sklejali je, a tak się jakoś stało, że wszyscy — naturalnie prócz zawstydzonych nagusów — siedli na darniowych ławeczkach przed chatą muzykanta. Dopiero zaciągawszy się dymem Adamczyk przemówił wolno:

— Co ta, Rokseła, oddaj chłopaka kom szmaty. U mnie i w studni zab nie brak. Zaba boskie stworzenie, czym się macie brzdzić? Rokselina wodę przecedzi i dobra.

— Tak, akurat — krzyknęła Rokselina — te niepoty wykapały się w

(Dokończenie na str. 7)

